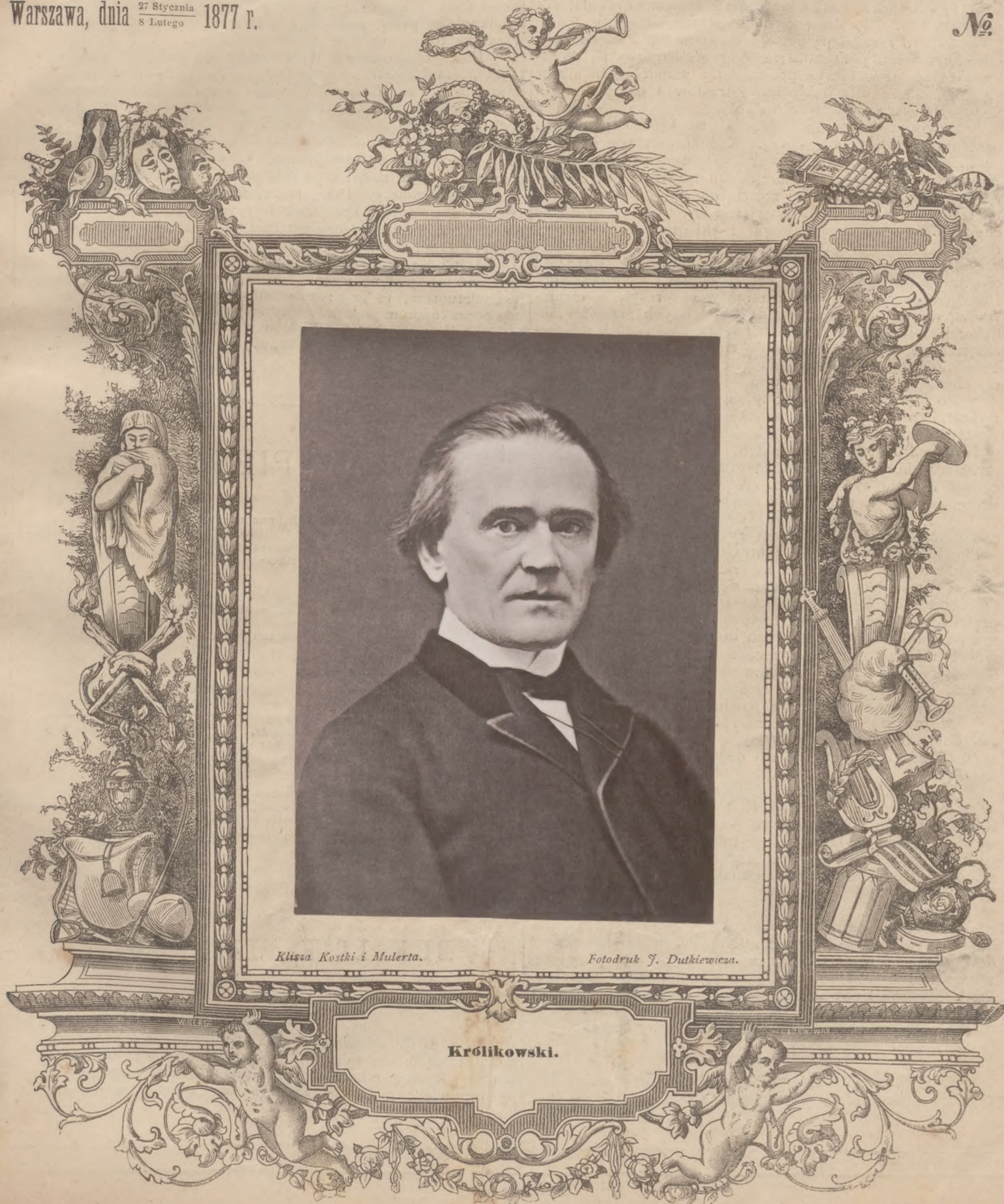
GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 27 Stycznia / 8 Lutego 1877 r. № 6.



Klisza Kostki i Mulerta. *Fotodruk J. Dutkiewicza.*

Królikowski.

KRÓLIKOWSKI.

Cóż to była za uroczysta chwila!

Jedna tylko, jedyna scena, a przecież sala teatralna zdawała się mieć inny pozór, niż dotychczas. Stała się prawdziwym przybytkiem sztuki, w którym Królikowski składał ofiarę tragicznéj muzie.

Moor, zdręczony wyrzutami sumienia, w trwodze śmiertelnéj zapytywał: „więc On jest?“ Szamotał się w buntowniczéj protestacyi, przeklinał niebo, iż jego plany zawiodły go, a zbrodnicza budowa ręki śmiertelnika runęła, jak domek z kart. Te drészcze, wewnętrzne huragany, które go ciskały o ziemię, wstrząsały zarazem sercami widzów. Groza tragiczna podniosła się w grze mistrzowskiéj do takich wyżyn, iż w chwilę potém, gdy szajka rozbójników wpadła na zamek z hukiem wystrzałów i okrzykami zemsty—wszystko to zbladło, osłabło.

Dawison, który grał Moora na krótko przedtém, grał go inaczéj, ale nie silniéj. Królikowski więcéj liczył na uniesienie, na ową *duszę* gry artystycznéj, dla któréj wystudyowana forma w szczegółach najdrobniejszych jest tylko ciałem. Królikowski zresztą nie mógł się tu oprzéć na tradycyi, a wzoru z Dawisona istotnie czerpać nie chciał. Poszedł swoją drogą i osiągnął swój własny tryumf.

Przedstawienie postaci Moora naprawdę stało się chwilą stanowczą w zawodzie artystycznym Królikowskiego. Przedtém ceniono go jako mistrza w ekspresyi, w cieniowaniu, w wystudyowaniu najdelikatniejszych przejść i modulacyj; odtąd ujrzano w nim bogaty zasób tych sił wewnętrznych, bez których zawód tragika jest niemożliwym. Przed artystą otworzył się świat cały czynu, który aż do téj chwili był dlań zamkniętym.

Po Moorze przyszedł Shylok. I oto nowa dziedzina, w któréj trzeba było iść omackiem, a wyjść zwycięzko. Postać to nie dzisiejsza, pełna skupionéj charakterystyki, w zarysach śmiałych, szérokich. Komedya z dramatem stykająca się, a postawiona na gruncie społecznym, z którym w zgodzie być należało. Artysta nasz wniknął w jéj istotę, odgadł jéj tajemnicę i znowu osiągnął tryumf.

A oto Hamlet! Królikowski sięgnąć tu musiał do filozofii ducha ludzkiego, aby kontury postaci wyrzeźbić w prawdopodobne załamki. Siła kontrastów, złożona w niéj, jest ogromnym szkopułem dla aktora. Co krok -- przepaść. Idziesz omackiem i potykasz się... to nie tu! Wracasz i próbujesz dziesięciu innych ścieżek, aby nie natrafić na prawdziwą. Tyle już piór i głów łamało się nad Hamletową zagadką, tyle namnożono domysłów.. a jeszcze pewności nie ma. Artysta tymczasem kroczyć musi w sam środek zadania i z mgły, z tumanów niepewności wyprowadzić na światło dzienne postać żywą, silną, któréjby publiczność nie miała prawa powiedzieć: „Jesteś fałszem.“

Można się nie godzić na Hamleta Królikowskiego, odnośnie do zasadniczego pojęcia téj postaci, ale trzeba się zgodzić, iż w nim nie ma dysonansów, ani niekonsekwencyj.

Wielka szkoda, że z olbrzymiego szeregu Szekspirowskich bohaterów i typów te dwa tylko przypadły na udział Królikowskiego. Zdaje się że jego artystyczna karyera w wielu z nich znalazłaby szczytne dopełnienie, kiedy dotychczas jego Moor, Shylok i Hamlet są raczéj świetnym tylko dowodem, jak wiele ten znakomity artysta zdziałaćby mógł, gdyby...

Gdyby co?...

Każdy tragik i aktor do ról dramatycznych potrzebuje odpowiedniego otoczenia. Nie dla siebie—ale dla ról które przedstawia. Gdyby tu np. uparto się na wystawienie Leara, jesteśmy pewni że najwspanialsza ta tragedya Szekspira z powodu braku stosownéj obsady zrobiłaby zupełne fiasco. I to jest właśnie powodem, dla którego Królikowski w swéj działalności jest jakoby spętany.

* * *

O Królikowskim różne krążą zdania. Jedni powiadają że artysta ten walczy siłą wyłącznie talentu tylko — inni, że inteligencyą i pracą bez zapału i uniesień. Dwa zdania sprzeczne, a jednak łudząco prawdziwe. Mybyśmy odważyli się wnioskować, że w Królikowskim praca i inteligencya istotnie stanowią główny klucz do rozwiązania zagadki jego tryumfów. Swiadczyć się zdaje o tém pewna jednostajność w grze jego, wprawdzie ledwie dostrzegalna, ale mimo to niezaprzeczenie istniejąca. Nie dowodzi to bynajmniéj, aby talent tego znakomitego artysty nie działał tu zarowno, ale w nim siły głównéj szukać u niego nie należy.

Pracą tedy, olbrzymią, usilną i niezmordowaną pracą Królikowski zaszedł aż tam, gdzie inni zdążać się nie ośmielą. I tylko taż praca właśnie mogła go zaprowadzić tak daleko. Ona to mu dała podstawy działania pewne i niezachwiane, ów grunt pod stopy, na którym opierać się musi wszystko to, co ma być stałe.

Pracą tedy doszedł Królikowski do trafnego chwytania postaci ze strony właściwéj, do odgadywania zasadniczych rysów, do prawidłowego uwydatniania momentów głównych. Ona to mu dała pewny pogląd na ogół tych postaci, a zarazem niezmierny zasób materyału do urozmaiconego przyoblekania myśli autora w żywe kształty.

Pracą téż systematyczną, uporczywą, Królikowski głosowi swemu nadał ową elastyczną dźwięczność, którą w nim podziwiamy. Przez nią twarz jego nabrała wyrazistości ekspresyjnéj, spojrzenie wymownéj siły, ruchy okrągłości skończonéj, wysoce estetycznéj i, rzeklibyśmy, perspektywicznéj zarazem.

Jeżeli Królikowski nie jest olbrzymem talentu, to niezaprzeczenie jest mistrzem doskonałéj szkoły. Jeżeli nie jest wirtuozem, to jest zato skończonym artystą, świadomie poszukującym piękna i świadomie ożywiającym je w grze umiejętnéj, obmyślanéj. Ztąd to właśnie płynie pewność jego scenicznych tryumfów, trwałych i niezawodnych.

St. M. Rz.

DWIE PIEŚNI.

Są... co uderza w nich grom za gromem,
Oczy im więdną wśród ciągłych łez
Życie wędrówką po wzgórzu stromem
A u mogiły męczarń ich kres...

I jeśli czasem jaśniejszéj doli
Błyśnie im promień... jak mara snów...
Pytają: kiedyż serce zaboli
I czemu gromy nie biją znów?!

* * *

Zda mi się że niebo puste
Jednym grobem ziemia cała,
Wszystkie gwiazdy w okół zgasły,
Wyschłe morze, pękła skała.

A ja—mego „ja“ nagrobek
Zimny stoję pod drzewami...
I wiatr wieje i deszcz rosi
Wciąż zimnemi na mnie łzami...

Tadeusz Czapelski.

BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOWELLA.

Doprawdy, niewiadomo kto jest duszą tego prześlicznego buduaru: czy ta piękna pani, zatopiona w poduszkach miękkiéj kozety i bacznie odczytująca jakieś arcy-zajmujące opowiadanie Ouidy, czy też ten bukiecik w majoli-

kowym wazoniku, roztaczający wokoło delikatną, słodką woń swoich kwiatków.

W téj ciszy, śród któréj drobna muszka skrzętnie poszukuje ukrytych za jedwabną oponą promieni słońca — kobiéta zatopiona w czytaniu i kwiaty milczące, a tak wymowne, w dziwną splątają się harmonią. Atmosfera pokoju przepełniona jest uroczą wonią i wdziękiem. Wygląda on na tajemniczy przybytek bóstwa, którego obecność trwa, tylko pełna majestatu zadumania... Lękam się nawet, czy mi wolno was tu prowadzić, o czytelnicy, abyście zbyt ciekawemi spojrzeniami nie dopatrywali ziemskich cech na tém wyjątkowém otoczeniu.

Wyjątkowém mówię, bo istotnie w buduarze pięknéj pani ułożyło się wszystko w ład tak zachwycający, w spójnię tak jednolitą, iż doprawdy, pokój ten niewieści przybrał pozory małéj świątyńki. Nawet cień półmroczny, który pozbierał rozproszone blaski z marmurowych ścian i alabastrowych ozdób, aby je pokryć łagodną barwą — podnosił ten urok ustronia do wysokiego stopnia.

Za weneckiém, wysokiém oknem świat cały wrze życiem i ruchem... Tam ludzie w codziennym trudzie i rozgwarze snują się na wszystkie strony, szukając chleba, rozrywki, rozkoszy... tu—piękna kobiéta, zatopiona w fantastycznéj opowieści, snuje bladą nitkę dumań, które, bądź co bądź, musiały się zakończyć—nudą.

Oto w téj chwili niedbałym ruchem miękkiéj i wypieszczonéj dłoni odrzuciła czytaną książkę i ziewnęła lekko, spoglądając w około tak, jakby piękne jéj oczy zwątpiły o sile swéj i o swéj potędze. Ach!... tak tu duszno, choć pięknie! Oto dłoń jéj porusza zlekka frendzle poduszki, a nóżka drga nerwowo... Ouida pisze tak pięknie, ale... bądźże tu przez dzień cały sam na sam z kimś, co wciąż snuje jeden i ten sam wątek rozmowy, nie troszcząc się o nasze myśli i marzenia.

Wstała i przeszła się parę razy po pokoju. Postała potém chwilkę króciutką przed zwierciadłem, poprawiła machinalnie płowych włosów nad skronią i... znowu spojrzała bez celu wokoło.

To spojrzenie, prawie przelotne, szybkie, nerwowe, w téj chwili nabrało dziwnéj siły. Żal, nuda, niechęć... prawie rozpacz świéciły z cudnych oczów kobiéty, która jeżeli była ziemską boginią, to... w złoconych okowach.

— Nudno mi—szepnęła sama do siebie —zbliżając się do hebanowego stolika, pokrytego miękkim jedwabnym dywanem, na którym stał wazonik z fijołkami. Nudno mi i... tęskno.

Dłoń jéj, która w tej chwili spoczywała na piersiach, igrając ze zwojami misternego łańcuszka, podniosła się zwolna i delikatnie ujęła ów pachnący bukiecik.

— Biédne kwiatki, lepiéj wam być musiało na łące, śród któréj życie i wesołość, ruch i swoboda panują nad wszystkiém. Biédne kwiatki!...—dodała szeptem.

I poczęła im się przyglądać bezmyślnie, odchylając ostrożnie fioletowe listki. To machinalne studyum trwało parę minut, ale wkrótce piękna pani wpadła w jakąś głęboką zadumę i stała z tym bukiecikiem w ręku jak posąg żywy, smutna, choć wspaniała i urocza.

W téj chwili portyera od drzwi wchodowych uchyliła się zwolna i z po za fałd jéj karmazynowych ukazała się twarz mężczyzny, o wyrazie łagodnym, o spojrzeniu smętném a mimo to badawczém.

— Czy wolno?...

Kobiéta odwróciła szybko głowę, odrzuciła bukiecik i rzekła:

— Proszę.

Pytający wszedł.

Ten uśmiéchnięty wytworniś, o ruchach eleganckich i manierach salonowych, który w téj chwili wbiegł prawie i ujął gorąco dłoń kobiéty, był jéj mężem. Znać to było z jego uśmiéchu, ze spojrzenia, z bezceremonialnego, a przecież wykwintnego znalezienia się w obec pięknéj kobiéty.

Wszedł, uścisnął jéj małą rączkę, złożył pocałunek na jéj czole i obejrzał się w około, zaciérając dłonie.

— Jakże tu ślicznie—rzekł z uśmiechem zadowolenia. Cudne gniazdeczko rajskiego ptaszka... albo siedlisko uwięzionego na ziemi anioła. Niezmiernie jestem kontent, że ten cudowny buduarzyk nadaje się wybornie na cichą ustroń dumań mojéj fantastyczki i marzycielki...

Ona spojrzała nań z wyrazem pewnego zadziwienia.

— Fantastyczki i marzycielki?...

— Czy się na te niewinne tytuły nie zgadzasz?... A przecież prawdą jest, że dnie całe spędzasz na rojeniach... Cóż, czy mi zaprzeczysz?...

Kobiéta zwolna podeszła ku kozetce i usiadła, a podparłszy dłonią główkę, wpatrzyła się w mówiącego.

— Tymczasem, życie moje, po za rojeniami istnieje świat cały rzeczywistości, któréj się także przyjrzéć warto.

Mówiąc to, usiadł przy żonie i ujął z elegancyą jéj rączkę, która w téj chwili lekko drżała.

— Jesteś młoda i piękna i nie powinnaś szukać urzeczywistnienia wyśnionych ideałów w cztérech ścianach buduaru. Nasze położenie materyalne doskonale cię upoważnia do życia usłanego różami... a przyznasz, Helenko, że, o ile mogę ze swojéj strony, kwiatów tych ci dostarczam...

Pani Helena wpatrywała się w mówiącego męża ciągle z lekkim wyrazem zdumienia w pięknéj twarzy, która zmieniła się w téj chwili o tyle, iż była bledszą, niż poprzednio.

— Nie dobrze cię rozumiem — rzekła zwolna, cofając dłoń z uścisków mężowskiéj ręki.— Nie wiem też o jakich to mówisz wyśnionych ideałach, i jak chcesz, aby je urzeczywistniać. Róże, które mi sypiesz pod stopy, cenię jak należy, ale...

— Ale?...—pochwycił mąż z uśmiéchem. — Więc jest i ale?

— Znajduje się ono zawsze i wszędzie.

— Czy mi je zechcesz wskazać?...

— Jeszcze go sama nie pojmuję dokładnie, ale że *jest*... to przeczuwam.

Teraz mąż spojrzał badawczo w twarz żony i powstawszy z kozety, przeszedł się tam i napowrót po pokoju, a stanąwszy przed Heleną, począł z ekstazą:

— Twoje ideały?.. rzeczywistość?.. Powiédz mi o piérwszych, a ja ci wskażę drugie.

Ona pochyliła skronie i po chwilce namysłu rzekła:

— Moje ideały znasz i określać ci ich nie potrzebuję. Oddałam ci rękę przez miłość i... pragnę tylko miłości. Czy teraz wskażesz mi... rzeczywistość?...

Ten zwrot niespodziany wydał się panu mężowi lekkim atakiem, zapowiadającym systematyczną wojnę. I on w téj chwili zrozumiał, że pomiędzy nim a żoną stoi naprawdę jakieś *ale*—cóś bardzo drażliwéj natury, czego nie należy dotykać. Usiadł więc przy niéj i ujął znowu rączkę żony, a spoglądając głęboko w jéj śliczne oczy, mówił z zapałem:

— Rzeczywistość jest zawsze przy tobie... Szuka ona twoich spojrzeń i uśmiéchów, pozwala się czarować dźwiękiem twojego głosu, rozkoszuje się twoją pieszczotą i miłosnym szeptem... Czyliż w to już nie wierzysz?...

Pani Helena podniosła się nagle i podeszła do stolika hebanowego, na którym leżał porzucony przed chwilą bukiecik fijołków. Ujęła go szybko, rozgarnęła zlekka drobne kwiateczki i włożyła je w wazonik, a odwróciwszy się nagle ku mężowi, rzekła:

— Doprawdy, po dwóch latach pożycia małżeńskiego jesteśmy skłonni do romansowych uniesień. Czy to nie śmiészne?... A tymczasem, wracając do owego *ale*, o którém wspomniałam, zdaje mi się że jest ono od tych uniesień bardzo dalekiém.

— Jak to rozumiész?

— Oto: chciałam się poprostu zapytać, czyś czasem nie wyjeżdżał wczoraj?... Nie widzieliśmy się przez dzień cały.

Pan mąż wstał, poprawił ruchem przelotnym włosów, a przechadzając się po pokoju, odrzekł:

— Ach prawda! To ta fatalna Warszawa tak absorbuje wszystkie chwile życia. Na każdym kroku interesa, sprawy, zawikłania, z któremi rady sobie dać niepodobna. Przeklęte miasto! Wszędzie i zawsze spotykać się trzeba z całą chmarą ludzi, którzy gotowi spokojną drogę prze-

chodnia zawalić kłodami, byle mu tylko zabiérać dnie całe i...

— Zapewne i dzisiaj będziesz równie gwałtownie zajęty?...

— Dzisiaj... to zależy od okoliczności, które znowu nie zależą od nas.

— To znaczy, że mogę sobie bezpiecznie marzyć i roić o wyśnionych ideałach, pocieszając się tém, że przynajmniéj tobie przypadła—w udziele... rzeczywistość?...

— To wygląda na lekką wymówkę...

— Nie. To tylko skarga... zapewne na konieczność. Uchylmy przed nią czoła. Zresztą... od dwóch miesięcy poddaję się téj konieczności i od dwóch miesięcy, tak — poraz pierwszy... skarżę się.

W téj chwili mąż, wstrzymawszy swój emocyjny pochód wzdłuż i wszérz buduaru żony, stanął przed nią, przybrał wyraz czułości i szepnął:

— Helenko... skończy się to! Tymczasem wierzaj mi, iż każda chwila, spędzona nie przy twym boku, jakkolwiek stracona dla mnie, tobie przynosi nową siłę moich uczuć. Tęsknota i smutek... obraz twój ciągle w mojéj wyobraźni... o tak!...

— Czy doprawdy?... — spytała, obróciwszy twarz ku mówiącemu z wyrazem powątpiewania, z którym mieszał się inny: chętnéj, ale niedość silnie pobudzonéj wiary w jego słowa.

Mąż w téj chwili sięgnął do bocznéj kieszeni tużurka i wyjął z niéj prześliczne safianowe pudełko. Otworzył je, zwrócił ku żonie i rzekł:

— Oto dowód. Wczoraj, biegnąc ulicą w zadumie o tobie, mój aniele, ujrzałem niespodzianie w wystawie sklepowéj to cacko. To dla mojéj Helenki—rzekłem w duchu—i oto jest!

Helena z dziecinną prawie radością ujęła pudełko i zatopiła spojrzenie w przepysznéj kolii, w któréj brylanty bogate i świécące tęczowemi barwy zdawały się walczyć o lepsze z blaskiem zachwyconych oczów pięknéj kobiéty.

— A!.. jakież to ładne—rzekła—jakież to ładne! Dziękuję ci!.. Czy mi w tém będzie do twarzy?..

Pobiegła przed lustro i zachwycała się pięknością drogocennego cacka, a mąż stanąwszy przy niéj, zapytał głosem tryumfującym:

— I cóż, jedyna, czy mi teraz wierzysz?..

Ona uścisnęła jego dłoń z wyrazem serdecznéj wdzięczności i uśmiéchnęła się rozkosznie.

— Więc mi wierzysz?.. Aha, mała figlarko... Potrzeba ci aż takich dowodów?.. No!.. ale to dobrze. Nie zbraknie ci ich nigdy... żądaj tylko.

Mówiąc to, elegancki małżonek spojrzał na zégarek i chwytając kapelusz, rzekł:

— A teraz... do widzenia, mój aniele. Śpieszyć muszę... ważne sprawy wymagają tego. Oddaj się słodkim marzeniom, ale już tylko o rzeczywistości, a ja tymczasem dołożę wszystkich sił, aby się jaknajprędzéj znaléźć u stóp swojéj bogini.

Ucałował z gracyą jéj rączkę i wybiegł.

Pani Helena po wyjściu męża raz jeszcze spojrzała w lustro, raz jeszcze przyjrzała się bacznie drogiemu klejnotowi, a potém, złożywszy go troskliwie w pudełeczko, położyła na swojéj tualecie.

Twarz jéj była rozpromieniona. Tak mało jéj było potrzeba... tylko kolii brylantowéj, aby uwierzyć w *rzeczywistość*. Teraz sama dziwiła się sobie, iż miała chwile nieufności. A powody?.. Powodów nie miała żadnych, nigdy, tylko... ta tak częsta nieobecność męża, czasami roztargnienie jego i dziwny oddźwięk w głosie, jakby... nieszczérości.

Nagle piękna kobiéta spojrzała na dywan, na którym tuż przy hebanowym stoliku, leżał jakiś przedmiot różowy Przyjrzała się baczniéj—był to list. A... to zapewne mąż wyjmując pudełko z kolią, uronił go niebacznie z kieszeni.

Podniosła go.

List był różowy, pachnący, mały... i... niezapieczętowany. Pani Helena przyjrzała się bacznie adresowi. Adres mówił: „Do panny Hortensyi *** ulica"... i t. d.

— Do panny Hortensyi?... Co to znaczy?...

Rozwiązanie zagadki łatwe: należało tylko zajrzéć do środka, a wyjaśnienie gotowe. Ale... czy się godzi?..

— Pismo... mojego męża! O! przecież on nie ma tajemnic przedemną. A jednak.... może to nieszlachetnie! A moje prawa żony?...

Piękna kobiéta po takiém rozumowaniu bez wahania już rozłożyła list fatalny, który brzmiał:

„Aniele!...

Serdeczne dzięki za te kilka słów, twoją skréślonych ręką. Masz prawo rozkazywać, a ja obowiązek spełnić winienem. Ponieważ téj drobnostki przyjąć nie chcesz... dobrze!... odbiéram ją z żalem i ofiaruję swéj żonie. Jest ona dostatecznie łakoma na brylanty i świecidełko to uspokoi ją na czas długi.

Aniele mój—pamiętaj—dziś o godzinie 6-éj.

Do widzenia!...

Twój W."

Pani Helena, czytając ten list, bladła. Gdy czytanie skończyła, dłonie jéj opadły bezwładnie, pierś załkała głucho, oczy rzuciły błyskawice żalu, uniesienia i dumy, a po chwili pudełko z kolią leżało na dywanie, zgruchotane w drobne cząstki.

— Ha!—jęknęła biédna kobiéta, rzucając się z ruchem rozpaczy na kozetę — więc to... rzeczywistość z łaski kochanki mojego męża! Jakież upokorzenie!

I zatopiwszy twarz, bladą jak marmur kararyjski, w dłoniach, siedziała tak długo, długo... marząc zapewne o wyśnionych ideałach i... *rzeczywistości*.

(*D. c. n.*)

DUCH WOJEWODY

LUDWIKA GROSSMANA

W WIEDEŃSKIÉJ KOMICZNÉJ OPERZE.

(Oryginalne sprawozdanie „Gońca Teatralnego").

Wiedeń, dnia 30 stycznia.

Opóźniłem się nieco z nadesłaniem sprawozdania, jednak uczyniłem to umyślnie, chcąc przeczekać jaki sąd wyda miejscowa krytyka o ziomku naszym. Obecnie wszystkie większe dzienniki złożyły się zbiorowo na krytykę bardzo pochlebną dla kompozytora, która ze strony publiczności, zaraz na piérwszem przedstawieniu jeszcze pochlebniéj dla niego wypadła.

Znam uprzedzenie Wiednia i niechęć zakorzenioną dla wszystkiego co polskie i w ogóle słowiańskie, dla tego tém większą muszę przywiązać wagę do powodzenia, jakie tu odniósł p. Grossman, którego przy pierwszem przedstawieniu „Ducha Wojewody" *dziesięć razy* wywołano.

Nadto, niektóre wybitniejsze numera musiały być powtarzane nie tylko na pierwszéj, lecz i na następnych reprezentacyach, pomimo, że z wyjątkiem p. Charles-Hirsch żaden z artystów biorących udział w przedstawieniu nie wzniósł się nad bardzo mierne oddanie swéj roli.

Ogół krytyki miejscowéj, na jéj czele powagi takie, jak professor Hanslik w „Neue freie Presse i Gehring" w „Deutsche Zeitung" tak korzystnie wyraził się o talencie p. Grossmana, że i z téj strony laury przypadły kompozytorowi naszemu w udziele.

We Wiedniu od czasów Bajreuth żadna opera, ani operetta nie miała takiego powodzenia, zacząwszy od Brühla „Złotego Krzyża" i Kretschmera „Folkunger," a skończywszy na Offenbacha „Roi Carotte" i Straussa „Methuzalem."

Że Offenbach i Strauss więcéj mieli protekcyi, ani-

żeli *homo novus* Grossman, [o tem nikt, wątpić nie może; jeżeli więc ostatni większe miał od nich powodzenie, to również wątpić nie należy, że odniósł je tylko rzeczywistemi zaletami swéj kompozycyi, swym talentem, mimo wszelkiego apryorystycznego uprzedzenia i niechęci.

Nie przytaczam wszystkich pochlebnych głosów krytyki wiedeńskiéj, bo na to niepozwala szczupły rozmiar niniejszego sprawozdania, można się więc ograniczyć na pobieżném wymienieniu dzienników, które w Grossmanie, podobnie jak publiczność wiedeńska, powitały wiele rokujący talent kompozytorski.

N. fr. Prese i *Deutsche Zeitung*, dwa organa prassy miejscowéj najbardziéj wpływowe i w sprawach artystycznego powodzenia stanowczo roztrzygające, najkorzystniéj oceniają „Ducha Wojewody." *Morgen Post, Tagblatt, Tagespresse, Vorstadtzeitung, Extrablatt,* francuzki dziennik *Messager de Vienne* również pełne są pochwał i uznania dla kompozytora.

Chór początkowy w pierwszym akcie—„pieśń o skowronku," śpiéwana po mistrzowsku przez p. Charles-Hirsch w drugim akcie i cały akt trzeci szczególniéj tu się podobały. Melodye węgierskie mniéj zyskały uznania. Akt drugi grzeszy trochę brakiem akcyi, więcéj ze strony librecisty aniżeli muzycznego kompozytora. Dlatego też, pomimo pysznego baletu i wspaniałéj wystawy nie zdołał zyskać tyle oklasków, jak piérwszy i ostatni.

Reasumując zdania krytyki i publiczności konstatuję bezstronnie, że p. Grossman niezwyczajne miał tu powodzenie i że przèkroczył w Wiedniu zwycięzko Rubikon wziętości powszechnéj.

Chcąc być bezstronnym, nie mogę pominąć i ujemnéj krytyki o „Duchu Wojewody" wypowiedzianéj w *Fremdenblatt* i staréj „Presse." Szczególnie ostatnia bardzo ostro traktuje kompozytora, jednak okoliczność, że nie *Schele*, tylko *homo obscurus* Ed. Singer kaleczy skalpelem krytycznym, łagodzi bardzo na korzyść kompozytora wszelkie zarzuty. „Fremdenblatt" i „Presse" jako dzienniki półurzędowe z obowiązku swego muszą popierać p. Jaunera dyrektora nadwornéj opery, który naturalnym jest rywalem dyrektora Hirscha i w ogóle „Komische Opera"

Te same sfery inspirowane i przesiąknięte nadto starym duchem biurokratycznym, który *exra muros* Wiednia nie zna nic znakomitego—jeszcze gorzéj obeszły się z Moniuszką a mianowicie z jego „Strasznym Dworem," który z niezwyczajnem dawany jest powodzeniem obecnie we Lwowie. Ażeby zaś dać dokładne wyobrażenie o téj stronniczości, przytaczamy na zakończenie dosłowny przekład krytyki o tem arcydziele naszego mistrza.

„W lwowskim teatrze przedstawiono niedawno poraz pierwszy najnowszą operę Moniuszki p. t. „Straszny dwór", Pomimo niezwyczajnéj reklamy, poprzedzającéj kilka tygodni przedstawienia, nie miała ta opera innego, jak tylko bardzo mierne powodzenie. Libretto, pełne płaskich dowcipów, jest nieudałem dziełem warszawskiego reżyssera Chęcińskiego; część muzykalna polega w większéj części na chórach i solach nie mających żadnéj wartości, ktore, chociaż trzymane w wielkim stylu, nie posiadają żadnéj artystycznéj treści i nadto są niezgrabnem naśladownictwem cudzych oper. Pomimo tego mają dzienniki polskie tyle bezczelności, porównywać opery Moniuszki z arcydziełami Mayerbeera i Ryszarda Wagnera."

Jestto niezawodnie piękny dowód koteryjnéj tolerancyi. Pamflet ten dołączam w oryginale.

Tymczasem „Duch Wojewody," z brawurą trzyma się na repertuarze i czem raz większe zyskuje uznanie. Kompozytora i po następnych przedstawieniach wywołują a nadto teatr zawsze przepełniony.

Grossman jest *l'homme du jour.*

Gr. Smólski.

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

(*Ciąg dalszy*).

FILIP. Janowa dawno zna panią?

JANOWA. Niedawno, wprzódy nim na boży świat wyjrzała. Służyłam u jéj rodziców.

FILIP. Powiedzcież mi tedy...

JANOWA. Nic nie powiem, bo i tak zawdy wypaplę za wiele—późniéj jeno pani się gniewa.

FILIP. Alboż wasza pani umie się gniewać... taka słodka, taka łagodna, ona musi być jak anioł, musi lubić jedynie... jedynie... no cóż?... nic nie mówicie? (*Janowa głową potrząsa*). Powiedzcież przecie co lubi?

JANOWA. Niby z jadła czy napitku? Et, ona istny wróbelek, dziubnie parę razy i jużci syta.

FILIP. Ale nie z jadła ani napitku, tylko tak... w ogóle... no, rozumiecie?

JANOWA. Aha, niby tak... to miłuje męża teraźniejszego, chociaż czort wie za co.

FILIP. A oprócz męża?

JANOWA. Ano, dziecko.

FILIP (*n. s.*). To już ma (*głośno*) a potém?

JANOWA. Niby mnie, książki, kwiaty.

FILIP. Aha, kwiaty—a daléj?

JANOWA. Wieś, muzykę.

FILIP. Cóż jeszcze?

JANOWA. Jeszcze? eh, już chyba dość.

FILIP. Ale jeszcze, przypomnijcie sobie.

JANOWA. Nie mogę... A do czego to panu?

FILIP. Tak sobie z ciekawości.

JANOWA. Aha, już wiem.

FILIP (*żywo*). Cóż, cóż?

JANOWA. U rodziców lubiła zawdy... pierogi z jagodami.

FILIP. Eh, wy myślicie o jedzeniu jedynie.

JANOWA. No, teraz już wiem — i to ją zgubiło... Lubi wiersze.

FILIP. Jeszcze nie to, poszukajcie.

JANOWA. Bodaj łeb ukręć, ani w ząb.

FILIP (*n. s.*). Baba ciemięga (*głośno*). Z jakiegoż powodu porzuciła pierwszego męża?

JANOWA. Anioła panie, coby jéj krwi własnéj nie poskąpił.

FILIP. A poszła za...

JANOWA. Za tego pismaka, bo... bo... z przeproszeniem (*ciszéj*) cielątko. Bo się nie zna na ludziach. Ten ją zoczył na balu i nuż pleść androny, nuż tumanić gładkiemi słówkami, a ona, niby turkawka, pieszczot łakoma. Jedynastwem było to w domu, więceśmy wszyscy chuchali, dmuchali... a wiadomo, że czem skorupka nasiąknie za młodu... już pan rozumie?

FILIP (*uradowany*). Rozumiem, rozumiem!... O moja Janowa, jakżem wam wdzięczny (*słychać dzwonek*). Przyjmijcie to... (*kładzie jéj w rękę pieniądze*).

JANOWA. Na orzechy—dziękuję (*dzwonek głośniejszy*) ktoś dzwoni (*wybiega głębią*).

FILIP. Zatém pieszczot żądna! o aniele! (*wchodzi z lewéj Leonora*).

LEONORA. Czemu nie otwieracie Janowa? (*głębią wchodzi Łubin*).

SCENA X.

LEONORA, FILIP, ŁUBIN.

FILIP (*do Łubina*). Twoją odpowiedź sam wręczyłem Banderowi, ani chce słyszeć o rozstaniu się z tobą. A na zgodę przysyła ci tę książeczkę, do której wedle twego żądania, dodatkowo wydrukować kazał dedykacyę, jak się domyślam, dla żony. O, proszę pani... (*podaje Leonorze książkę*) „Do mego Bóstwa."

LEONORA (*bierze książkę*). Twoje poezye.. ależ one nie były dedykowane nikomu...

ŁUBIN. Pozwól... (*chce odebrać książkę*).

FILIP. To też do jednego tylko egzemplarza, dodrukowano tę ćwiarteczkę... na upominek dla pani.

LEONORA (*czyta*).

„Sztuka, ducha mojego wraz z twoim jednoczy,
„Lecz natchnienia mi czarne dostarczyły oczy,
„Składając więc kapłance ofiarę, wyznaję
„Że mi nad wszystkie sztuki, milszą się wydaję!“

ŁUBIN (*kilkakrotnie usiłował odebrać książkę*). Pozwól... pozwól... liche wiersze... daj...

LEONORA (*do męża*). Dla kogo ta książka, dla kogo?

FILIP. Ah, ale pani ma przecie oczy niebieskie, nie zaś czarne!

ŁUBIN. To... to... (*cicho do Filipa*). O przeklęty, coś ty narobił!

LEONORA. Mów... komu ta dedykacya?...

ŁUBIN (*coraz bardziéj zmieszany*). To... to... dla jednéj z naszych artystek...

LEONORA. Po co? w jakim celu?

ŁUBIN (*jąkająco*). Wiadomo ci, że oddałem do teatru mój dramacik... obecnie będący już w nauce... otóż... owóż... wypadało poznać się bliżéj z aktorką... celem... celem przestudyowania roli... a w konsekwencyi oddać należny hołd talentowi.

FILIP. Nie pomijając wdzięków.

ŁUBIN. Oto powód dedykacyi, jak widzisz skleconéj na prędce; bez sensu...

LEONORA. Dla czego taiłeś przedemną?

ŁUBIN. Pragnąłem zrobić ci niespodziankę, od razu przynosząc czerwony afisz.

FILIP. Kiedyż pierwsze przedstawienie?

ŁUBIN (*ciszéj*). Milcz.

LEONORA. Dziwném mi się to wydaje...

ŁUBIN. Drobnostka, nie warta tyle hałasu. Autorowie muszą porozumiewać się z aktorami, to konieczne. Byłem na pierwszéj próbie... przyznać należy, że u nas grać umieją!... No, Leno, dziecko moje... a, jaka nadąsana!... może zazdrosna... fi!... taka buzia nie powinna obawiać się konkurencyi... no, proszę się uspokoić... Leno droga, daj łapkę na zgodę, rozchmurz śliczne czoło... (*całuje jéj ręce*) i oddaj ten tomik... (*Lena, uważnie patrząc mężowi w oczy, po pewnem wachaniu oddaje*). Tak, to grzecznie, to rozumnie... a ty Fipku, pójdź do mnie, przeczytam ci mój nowy poemat.

FILIP. Zaraz, zaraz, tylko odeślę konie, bo jeszcze dziś nie jadły obiadu! (*odchodzi głębią—Łubin na lewo*).

SCENA XI.

LEONORA *potém* JANOWA.

LEONORA (*sama*). Miałżeby mnie już zdradzać?.. nie, niepodobna... (*z gorzką ironią*) to jeszcze zawcześnie! (*Janowa wchodzi z prawéj*).

JANOWA. Pakciarz z Petrykoz przywiózł ten papier, pewnie z wieścią od naszego dzieciątka.

LEONORA (*otwiera*). „Najdroższa mateńko!“ (*mówi*) Ah, dziecko moje najmilsze! (*całuje list z uniesieniem*). Pierwsze pismo tego aniołka! patrzcie, patrzcie...

JANOWA. Od Ewuni! o kanarek! cóż ona tam robi ptaszynka?

LEONORA (*przebiegając list*). Tęskni, chce wrócić...

JANOWA. Sierotka! (*spostrzegłszy się, wybiega*).

LEONORA (*drgnęła na ten wyraz*). Ah!... sierota!... tak, prawdęś rzekła! I jam to ją osierociła!.. pozbawiłam ojca i stałam się matką wyrodną!... Wydaliłam z domu, bo *on* powiedział, że mu szczebiot dziecka przeszkadza w pracy... Zaślepiona, własnemi jedynie zajęta przyjemnościami, zapomniałam o tobie, zachwiałam całą twoją przyszłością! Oh! z jakiemże ja teraz rumieńcem stanę przed tobą o córko, i czem usprawiedliwić zdołam mój postępek, moją zbrodnię! (*wchodzi Łubin*).

SCENA XII.

LEONORA, ŁUBIN *późniéj* FILIP.

ŁUBIN. Filip nie wrócił jeszcze?

LEONORA (*zajęta listem*). Patrz! (*podsuwa list*).

ŁUBIN. Coż to za kulfony?

LEONORA. Pismo Ewuni... o drogie literki (*całuje list*).

ŁUBIN. Nie lubię dzieci; nudzą mnie (*wchodzi głębią Filip*).

FILIP. Idzie tu właśnie owa deputacya, o któréj ci wspominałem.

ŁUBIN. Ah! (*D. c. n*)

SPORT.

Hodowla koni. Stadnina w dobrach Łosiu (gub. Warszawska, pow. Górno-Kalwaryjski) własność p. Wł. Mysyrowicza.

Stado koni w Łosiu założonem zostało w roku 1850 z klaczy miejscowych, rassy dawnéj polskiéj i tureckiej, pokrywanych ogierami stada janowskiego.

W roku 1854 kupionym został na licytacyi tamże ogier gniady Numa, po ogierze angielskim pełnéj krwi Ludlow; następnie kupionym był ogier arabski Presse-papier, a że źrebięta były po nim małe i nieodpowiednie wymaganiom, sprzedanym został wraz z całém potomstwem. W roku 1865 nabytym został ogier angielski pełnéj krwi Tordesillas po Touchstone jego dopiero potomstwo z klaczy po Numie, okazało się doskonałe, zdatne do wszelkich usług stosownie do matek jakie miał sobie dawane.

W r. 1866 sprowadzonemi zostały trzy klacze pełnéj krwi angielskiéj ze stada hr Renarda, te były źrebne po pierwszorzędnych ogierach i wydały bardzo dobre potomstwo; obecnie stado w Łosiu składa się z koni rassy przeważnie pełnéj krwi angielskiéj, lub też pochodzącéj od tejże, to jest $^{3}/_{4}$ i $^{1}/_{2}$ krwi. Utrzymywane jest w czystości, jak o tém rodowody przekonywają i odświeżane ogierami z Anglii sprowadzonemi. Celem hodowli jest produkować ogiery rozpłodowe, konie wierzchowe i wyścigowe, $^{3}/_{4}$ zaś i $^{1}/_{2}$ krwi jako konie kawaleryjskie i zaprzężne.

Stado składa się z ogiera oryginalnego angielskiego. dziewięciu klaczy pełnéj krwi, oraz dziesięciu $^{3}/_{4}$ i $^{1}/_{2}$ krwi angielskiej.

Wzrost koni jest rozmaity, w przecięciu liczyć można 2 arszyny $3^{1}/_{2}$ werszka, chociaż są i 5-cio werszkowe.

Maść w stadzie przeważnie gniada, są jednak kare, skarogniade i kasztanowate: siwe rzadko się trafiają.

Klacze źrebne używane są do zaprzęgu z wyjątkiem tych pełnéj krwi, które są temperamentu gorącego i zbyt niespokojne. Pożywienie koni składa się z owsa, siana i marchwi z odpowiednią ilością sieczki. Ogiery dostają zimową porą owsa garncy 2, siana funtów 10 i marchwi garncy 4; w czasie stanowienia owsa 3 do 4 garncy i siana funt. 10 Klacze zimą owsa garniec 1, siana funt. 10 i marchwi garncy 5; po wyźrebieniu ilość owsa powiększa się do garncy 2 z dodaniem 2 garncy otrąb z 10 funtami siana Źrebięta w parę tygodni po urodzeniu dostają owies w odpowiednich żłobkach i ten jedzą dowolnie; po odsadzeniu przeznaczone na wyścigi są silnie karmione owsem i najpiękniejszém sianem (dostają od 2 do 3 garncy owsa i siana ile zjedza); inne dostają po garncu owsa, siana funtów 5, marchwi garncy 2. W drugim roku dla wyścigowych ilość owsa powiększa się, a siana zmniejsza się; inne zaś dostają téż samą ilość owsa, tylko dodaje się im zgonin i marchwi; chodzą one po pastwisku letnią porą, a w czasie zimnego lata mają zadawane na noc cokolwiek siana i słomy jaréj.

Obszernych naturalnych pastwisk niema, są tylko pozakładane sztuczne pastewniki i na tych klacze ze źrebiętami i celna młodzież więcéj dla ruchu jak dla pożywienia przechadza się; reszta młodzieży i klacze jałowe chodzą razem na wyspie położonéj wśród wielkiego stawu; dla źrebców przeznaczonych na ogiery porobione są osobne zagrody.

Dozór nad całą stadniną ma trener, w czasie jego nieobecności starszy stangret.

Służba składa się z trenera dwóch stangretów i 5 chłopców.

Weterynarz rocznie umówiony co miesiąc przyjeżdża z Warszawy, w razie zaś nadzwyczajnego wypadku umyślnie jest wzywany.

W lutym zaczyna się pokrywanie klaczy; źrebiąt rocznie przechowuje się od 10 do 14; do sprzedania zaś bywa od 6 do 10 sztuk które jako 2-u lub 3 letki sprzedają się mniéj więcej w cenie od 200 do 750 rubli.

Obce klacze także są przyjmowane do pokrycia w cenie rs. 15, 25, 40 i 60 stosownie do klassy ogiera.

Stajnie są urządzone w ten sposób, że klacze stoją każda w osobnéj klatce, 3 łokcie szerokiéj i 6 łokci długiéj; na tydzień przed ożrebieniem i parę tygodni po tém przeprowadzane są do obszerniejszych zagród i tam luzem puszczane bywają. Ogiery celne stoją luzem w boksach; — inne zaś stoją w takich klatkach jak klacze. Młodzież w liczbie od 2 do 4 mieści się w osobnych zagrodach.

Wszystkie stanowiska pod końmi i źrebiętami ubite są z piasku i ten co parę miesięcy wywożonym bywa.

Służba oprócz płacy otrzymuje: trener 5% od otrzymanych na wyścigach nagród; nadto 2% od ceny sprzedaży; od klaczy obcych pokrywanych ogierami tutejszemi od 2 do 3 rubli; — za każdego źrebaka do 5 miesięcy odchowanego od rs. 1 do 2, to wszystko składa się i w końcu roku dzieli pomiędzy całą obsługę, stosownie do uznania właściciela.

W tym roku ogiery przeznaczone do stanowienia są następujące:
1-o Neptunus znany ogier pełnéj krwi angielskiéj z Anglii w r. 1872 sprowadzony.
2-o Eclips ogier pełnéj krwi angielskiéj po Tordesillasie i Colloquint.
3-o Ballon ogier pół krwi angielskiéj po Tordesillasie i Roxolanie.

Konie znajdujące się obecnie w trejningu:
Fripponier og. gniady po Tordessilasie i Frippon 5 lat.
Thetis klacz kara po Neptunnsie i Coloquint 4 lat.
Almea klacz skarog po Neptunusie i Frippon lat 4.
Moloch og. gniady po Neptunusie i Miss Edda 3 lat.
Mignon kl. gniada po Neptunusie i Jurata 3 lat.
Frou-frou klacz kara po Neptunusie i Tordessa lat 3.
Elinor klacz sk. po Neptunusie i Frippon lat 3.
Y. Apropos ogier sk. po Neptunus i Jurata 1 lata.
Y. Adonis ogier gniady po Adonis i Coloquint.
Minerwa klacz sk. po Neptunus i Miss Edda 2 lat.
Miss Owen klacz gniada po Neptunus i Aldona 2 lat.
Letycya kl. kar. po Neptunus i Fripne 2 lata.
Alf ogier kary po Neptunus i Tordessa 2 lat.
Otello ogier kary po Neptunus i Sylfida.
Trenerem jest Szumiłło.

Wyścigi. Pomiędzy trzylatkami zapisanemi do biegania na torach austryjackich, figuruje klacz kasztanowata Salamandra po Salamandrze i Last-Trial własność hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa.

Pochodzący z Chorzelowskiego stada własność hr. Jana Tarnowskiego, Ogier ciemno-gniady Przedświt ur. w r. 1872, po Knight of the Garter i The Jewel, po Stockwell i July, po J. Birdcatcher i Gillyflower, po Venision i Temerity, po King of Clubs, w ciągu roku 1875 i 1876 zdobył następujące nagrody:
Pressburg Trial Stakes 2,000 florenów.
Pressburg Nagroda Cesarska 200 dukatów.
Peszt nagroda rządowa 1,000 dukatów.
Peszt produce stakes 1,000 florenów.
Wiedeń Austryackie Derby 6,000 florenów.
Warszawa Derby international 2,000 rubli.
Warszawa nagroda Towarzystwa 1,000 rubli.
Lwów produce stakes 200 dukatów.
Lwów nagroda cesarska 500 dukatów.
Lwów nagroda cesarska 300 dukatów.
Oedenburg nagroda rządowa 400 dukatów.
Oedenburg nagroda rządowa 200 dukatów.
1876 rok.
Pressburg Carlburger Preis 1,000 florenów.
Pressburg Lanschützer Preis 1,000 florenów.
Peszt Karolyi Stakes 2,000 florenów.
Wiedeń nagroda cesarska 600 dukatów.
Wiedeń nagroda cesarska 1,000 dukatów.
Lwów nagroda cesarska 500 dukatów.
Lwów nagroda Towarzystwa 700 florenów.
Lwów nagroda cesarska 300 dukatów.
Baden-Baden złoty puhar i 20,000 marek.
Debreczin nagroda rządowa 200 dukatów.
Debreczin nagroda rządowa 300 dukatów.
Oedenburg nagroda rządowa 400 dukatów.
Peszt nagroda rycerska 285 dukatów.
Praga nagroda cesarska 600 dukatów.
Do nagród nie są wliczone wkłady.

Miscellanea. Pomiędzy osobami zwracającemi na siebie uwagę w czasie tegorocznego sezonu w Nicei, pisma francuzkie wymieniają hr. Starzyńską któréj toaleta podczas balu danego w prefekturze odznaczała się nadzwyczajném bogactwem i świetnością. Wzmiankowana hr. Starzyńska celuje zręcznością w jeździe na łyżwach z kółkami i należy do liczby osób bardzo często odwiedzających salon łyżwowania (skating) przy ulicy Halévy.

— Stary Dumas z podróży po Kaukazie, przywiózł z sobą dziecko gór tamtejszych któremu na imię było Wasili.

Używany do posług Wasili odznaczał się zawsze nadzwyczajną bystrością umysłu i sprytem; a przy tém wierny swemu panu, posłuszny na jego skinienie, rozkazy w mgnieniu oka spełniał.

Dumas stroił swego służącego w pyszny kostium czerkieski, do którego dawał mu swoją broń świetną. Wasili w tém ubraniu wyglądał paradnie, zdawał sie być raczéj panującym księciem, aniżeli służącym literata!

Pewnego wieczoru Wasili ze swym przyjacielem wybra i się na bal do Mabilu, gdzie bawili aż do rana. Około godziny 3-éj pożegnali się ci młodzi ludzie, a przyjaciel naszego amfitryona wsadziwszy go do fiakra kazał go odwieść pod Nr. 77, na ulicę Amsterdam, gdzie wówczas Dumas mieszkał.

Wasili nie miał pieniędzy i ztąd mu trudno było fiakra zapłacić, nie chciał téż dla małéj kwoty budzić swego pana: wychodząc więc z dorożki wyjął z kieszeni kawał papieru, pomiął go w ręku i dorożkarzowi takowy podając mówi: „oto sto franków, weź sobie należność za kurs, i na piwo a resztę zdaj mi.“ Stangret widząc to, skłonił się uniżenie i rzekł: „Wasza książęca mość żartuje sobie ze mnie; gdybym posiadał 100 fr. to z pewnością nie jeździłbym na koźle; wasza książęca mość raczy się wcale niefatygować i nie troszczyć o zapłatę, mogę przyjść jutro i to niezbyt rano aby waszéj książęcéj mości nie obudzić zbyt wcześnie.“

Na to mniemana książęca mość dumnie się pokłoniwszy z miną imponującą weszła na schody do Dumasa prowadzące.

Tenże Wasili gdy mu Dumas kazał opasłego psa prowadzić na spacer, aby schudł trochę, co dzien o naznaczonéj godzinie z psem wychodził z domu zapewniając Dumasa najsolenniéj, że używają obaj 8 kilometrowego spaceru. Tymczasem pies ani na milimetr nie schudł, a Wasili bardziéj jeszcze utył, widocznie więc spacer mu służył.

Gdy jeden z przyjaciół Dumasa zwrócił mu uwagę, że pies jego jest za tłusty, Dumas odpowiedział że służący Wasili co dzień spaceruje z niem lecz i to nie pomaga.

Przyjaciel Dumasa nie chciał wszakże wierzyć tym wymówkom; Dumas zaś był przekonanym, że Wasili najuprzemiéj rozkazy jego spełniał twierdząc, że Wasili i za królestwo nie skłamałby wcale.

Dopiero gdy Wasili przedstawił swemu panu rachunki z miesiąca, Dumas przekonał się że tenże robił te 8 lieueus co dzień w połowie koleją żelazną jeżdżąc z Varennes do Bastylyi i z powrotem do domu, przytém wcale spaceru nie używając.

1— W Wiedniu w tych dniach odbyło się posiedzenie założycieli klubu konnych jeźdźców pod prezydencyą księcia Trautmansdorff. Zadaniem klubu jest zachęcanie do jeżdżenia konno, szczególniéj do jazdy z przeszkodami i w ogóle do wszelkich turniejów i ćwiczeń na koniu.

Projekt tego klubu powstał w celu przeszkodzenia wzmagającéj się olbrzymio niewieściałości u mężczyzn, wynikłéj ze zbyt wygodnego życia. Klub tuszy iż uda mu się wskrzesić średniowieczną u szlachty dzielność i rycerskość.

Przedstawicielami klubu są starożytnych rodzin członkowie jako to: hr. Auersperg i hr. Kalnocky z księciem Trautmansdorff na czele.

Podobny klub jak to już wzmiankowaliśmy w numerze 3 naszego pisma, utworzył się w Petersburgu i zyskał Najwyższe zatwierdzenie.

Z naszéj strony szczerze życzylibyśmy aby i u nas coś podobnego utworzyć się mogło. Smutno bowiem patrzéć na występującą coraz bardziéj w naszém mieście zniewieściałość i gnuśność.

— **Strzelanie gołębi.** W dniu 24 Stycznia r. b. w Monaco miał miejsce jeden z najciekawszych konkursów w strzelaniu gołębi. Szło bowiem o wielką pulę, którą składały: przedmiot wartości artystycznéj oraz gotówką 3,780 franków.

Nagrodę tę zdobył p. M. Stonley, który zastrzelił 16 gołębi, czyli wszystkie które przeznaczone były do zastrzelenia. Druga nagroda przyznaną została p. Hugo Hallet, za wystrzelenie z liczby 16-tu gołębi sztuk 15-tu; nagrodę stanowiła cyfra 1575 franków.

Franków 945 to jest 3-cią nagrodę otrzymał baron Bower Saint-Clair który zastrzelił 14 gołębi z 15 na zastrzelenie przeznaczonych.

Gra w szachy. W wiekach średnich gra w szachy do któréj używano żyjących pionów była bardzo rozpowszechnioną i stanowiła jedną z najprzyjemniejszych rozrywek rycerskich. Otóż w tych dniach podczas pobytu Lorda Lytton w Molton, tenże Lord rozegrał podobną partyę z pułkownikiem Milett, wprowadzając w modę dawny zwyczaj który się obecnym wielce podobał.

Szachownica zrobioną była z kobierca perkalowego na którym znajdowały się kwadraty czerwone i białe mające po jardzie długości; kobierzec ten rozłożonym został w miejscowości obranéj przez obu grających. Za piony służyli dorośli mężczyźni i chłopcy, przystrojeni w odpowiednie kostiumy, jedni w czerwone a drudzy w białe.

Stanąwszy na oznaczonych kwadratach perkalu, ludzie ci posuwali się stosownie do wydawanych im rozkazów przez jednego lub drugiego z grających. Lord Lytton wygrał partyę. **J. N.**

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:
Rocznie . . . . Rs. 10 kop. —
Półrocznie . . . . „ 5 „ —
Kwartalnie . . . . „ 2 „ 50

w Cesarstwie i na prowincyi:
Rocznie . . . . Rs. 12
Półrocznie . . . . „ 6
Kwartalnie . . . . „ 3

Cena numeru pojedynczego kop. 20.



Chamant i Rosebery

zwycięzcy w wyścigach The middle park plate i w Caesarewitch stakes w r. 1876.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski** — Дозволено Цензурою, Варшава 27 Января 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w kantorze drukarni J. Ungra, w Warszawie Nowolipki Nr. 3.